



**PRAKTYKUJĄCY-
-WIERZĄCY W ŚWIECIE
NIE-WIARY, CZYLI
RZECZ O ŚWIADECTWIE**

rozmowa

z Maciejem Małysą

Zło jest bardziej krzykliwe, wydaje się bardziej atrakcyjne niż dobro, dlatego łatwiej zagrać czarny charakter zarówno w filmie, jak i na deskach teatru. Atrakcyjność zła to oczywiście pozory, ale wynikają one z tego, że w naszej skażonej naturze ciągnie nas do grzechu.



Fotografia - archiwum prywatne

MACIEJ MAŁYŚA

to aktor teatralny i filmowy, absolwent Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie, znany z ról w filmach i serialach: *Klan*, *Czułość i kłamstwa*, *Prawo ojca*, *Pierwsza miłość*, *Jan Paweł II*, *Kryminalni*, *Heniek*, *Wojna i miłość*, *Uwikłanie*, *Na krawędzi*, *Miłość i miłosierdzie*. Współpracuje z Teatrem Hagiograf, Teatrem Cracovia i Teatrem Nie Teraz. Prywatnie od wielu lat jest szczęśliwym mężem Iwony, a od kilkunastu lat tatą Gabrysi. Z pasji siatkarz, a być może niedoszły żołnierz.

Wiara w twoim domu była od zawsze.

– Tak. Od pokoleń. Jako dzieci zastanawialiśmy się z rodzeństwem, która babcia jest bardziej uduchowiona. Także dzięki nim byliśmy ministrantami, chodziliśmy na roraty i majówki. Rodzice byli aktywni w grupie parafialnej. Pamiętam, że gdy byłem z braćmi w Medjugorie i modliliśmy się różańcem, dołączyła do nas Amerykanka, która po godzinie modlitwy z nami spytała, który nasz rodzic jest bardziej pobożny: mama czy tata? Musieliśmy chyba faktycznie gorliwie się modlić.

Czyli dla ciebie wiara stała się kapitałem, w który wyposażyli cię rodzice?

– Zdecydowanie. Była takim bonusem, który czasami może być jednak przeszkodą...

Przeszkodą?

– Tak, bo jak człowiek dojrzewa, to czasem chce być w kontrze do tego, o czym codziennie uczą cię rodzice, czym żyją. Zdarza się tak, że jak rodzice wierzą, to ty myślisz sobie: „starzy, niemądrzy, nienowocześni” i idziesz w drugą stronę. U mnie też tak było, na studiach. Ale to nie był bunt przeciwko rodzicom, a raczej wygoda, bo wiara wiąże się też z pewnymi zakazami

i nakazami. „Co mi tam będą narzucać?” myślałem wtedy: „Przecież to ja jestem bogiem, a jeśli tak jest faktycznie, to innego nie ma”.

Było aż tak rewolucyjnie?

– Nawet bardziej. Pewnego razu przyszedł do mnie ojciec i powiedział: „Maciuś, kochasz mnie?”. A ja na to: „Tak tato”. „To proszę Cię, byś chociaż jedną godzinę w tygodniu poświęcił Bogu i poszedł do kościoła na mszę”. Odpowiedziałem, że nie chcę, bo widzę hipokryzję tych, którzy co niedzielę się modlą, a potem w życiu robią zupełnie coś odwrotnego. On mimo wszystko prosił, żebym chodził. No i chodziłem.

Są ludzie, którzy definiują się jako wierzący, ale niepraktykujący, to ja byłem wtedy praktykującym-niewierzącym.

Praktykujący-niewierzący miał w końcu jakiś punkt zwrotny, po przekroczeniu którego stał się praktykującym-wierzącym?

– Miał. Studia to był czas, kiedy chodziłem po knajpach. Przesiadywałem tam z piwkiem tak długo, aż wypraszały mnie, bo zamykali lokal. Wtedy szedłem do innej. I tak do ostatniego baru. Pewnego dnia – a to był Wielki Czwartek – zamiast do knajpy poszedłem do krakowskiego kościoła oo. Dominikanów, ot tak, żeby sobie posiedzieć. A było akurat czuwanie w ciemnicy. Nagle wybija północ i przychodzi kościelny zakonnik informując, że zamyka kaplicę. Pomyślałem sobie wtedy: „Chwila! Nie dość, że wyrzucają mnie z knajpy, to jeszcze z kościoła?”. Zignorowałem go i się nie ruszyłem. A prócz mnie w kaplicy, gdzie było złożone ciało Jezusa, było jeszcze tylko młode małżeństwo. Przez kilka minut obserwowali, co się będzie działo. Konflikt wisiał w powietrzu, ale zakonnik odczytał brak mojej reakcji jako fakt, że rozumiem jego komunikat i wraz z pozostałą dwójką wyszedł, zamykając kościół na klucz. Na odchodnym